

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

8

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

Na nieszczęście jednak, z nim nie było, jak z innymi. Zaledwie spojrzała na jego rękę, gdy krzyknęła zdziwiona, zawołała na swe towarzyszek, które także zaczęły się bardzo dziwić. Cyganka mówiła mu coś przez kilka minut, wywołując na twarzy jego silne rumieńce i zażenowanie. Odpowiedział jej, lecz wróżka pokiwiała przecząco głową i utkwiała wzrok na Łucyi. Stara nalegała na coś, na co pan Delille nie zgadzał się, wreszcie podszedł do żony i prosił, by i ona pokazała rękę.

Łucya z początku odmówiła, lecz w końcu ustąpiła błagalnym prośbom wróżbiarki, która na widok podanej ręki znowu krzyknęła zdziwiona i z uwielbieniem zaczęła patrzeć na Łucyę. Zbliżyłem się do nich i usłyszałem, jak cyganka mówiła, iż Łucyę kocha Duch, że ten Duch ma władzę oddzielać duszę jej od ciała, że przychodzi każdej nocy i posiada talizman. Bezwiednie podszedłem do samej Łucyi; stara wróżbiarka podniosła na mnie wzrok, rzuciła się z przerażeniem i powstając, wyciągnęła przed siebie obie ręce, zaciśnięte w kufaki, ale tak, iż wskazujący i mały palec trzymała prosto. Z rękami w tej pozycji podeszła do mnie i zawołała:

— Jezus! Marya! Broncie nas. On tu jest! Wi-dzę go!

Łucya zemdląła, ja zaś w mgnieniu oka znalazłem się na drodze; panią Delille przeniesiono do powozu.

Zamieszanie, wywołane tym wypadkiem, wkrótce uspokoiło się, mąż Łucyi siadł koło niej i zaraz ruszyli z powrotem do domu. Ja ich wyprzedziłem, gdyż mogłem jawić się w jej pokoju, kiedy tylko chciałem. Postać mojej ukochanej już tam była, drżąc cała.

— Łucyo droga — rzekłem, biorąc ją w ramiona — co ci się stało?

Łucya opowiedziała mi, co jej mówiła cyganka i dodała:

— Powiedz mi, czy ty dzięki czarom możesz do mnie przychodzić. Nie oszukuj mej ufności, nie kłam.

— Przysięgam ci, Łucyo, że nie znam się na czarach. Nas złączył tylko poświęcany różaniec i sprawiły to czary, ale Matki Boskiej.

— Chodź uklęknąć ze mną pod krucyfiksem i powtarzaj me modlitwy.

Pociągnęła mnie do kłęcznika i tam na kolanach, z rękami złożonymi, powtórzyłem za nią Ojcze nasz i Zdrowaś Marya. To przekonało Łucyę, iż w czynach naszych niema czarów szatańskich.

— Przebac mi, że wątpiłam o tobie, lecz ta straszna kobieta... Czy byłeś tam?...

— Tak, i słyszałem, co ci mówiła.

— Teraz po modlitwie mam jeszcze większą ufność w Bogu. Czuję, że tobie jestem przeznaczona. Oby ciało moje mogło powrócić na ziemię, bym należała tylko do ciebie.

Usłyszeliśmy, że powóz zatrzymał się przed domem; wkrótce na schodach i korytarzu rozległy się liczne kroki; niesiono ciało omdlejącej Łucyi. Położono ją na łóżku i damy, które były na tem przedstawieniu, zakrzętały się koło niej. Po przyjeździe doktora, wszyscy się cofnęli, pozostał tylko pan Delille.

— Ciągłe to samo — rzekł lekarz. — Tylko spokój należy zachować; jeżeli do jutra pani nie obudzi się, wtedy dopiero trzeba będzie coś zaradzić. Narazie nic nie można przedsięwziąć.

Po wyjściu doktora pozostał tylko pan Delille. Nie zwracaliśmy uwagi na niego, byliśmy sami, zajęci tylko swymi myślami.

W kilka chwil potem zapukano do drzwi i weszła stara cyganka; zbliżyła się do pana Delille i coś mu wręczyła; nie widziałem, co to było; przytem szeptała mu coś na ucho. Pan Delille potrząsał tylko głową i dał jej jakiś banknot. To wszystko zadziwiło nas bardzo i zaniepokoiło, naraz cyganka trzymając w ręku nóż podbiegła ku nam; instynktownie zasłoniłem sobą Łucyę; co potem się stało, nie pamiętam.

Opowiadanie pana Leyre'a wywołało we mnie taką dziwną komplikację myśli, iż nie mogłem z nich wybrnąć. Wyrzuciłem sobie przytem, iż pozwoliłem mu tak długo mówić; ciekawość moja zwyciężyła poczucie obowiązków lekarza. Chcąc powetować swą winę, zaleciłem choremu jak największy spokój.

Po powrocie do siebie zastałem list ks. Jaugi; państwo Delille byli spodziewani za dwa dni. Jak tylko będzie miał jakie wiadomości przybędzie do mnie.

Ostatniego marca zjawiała się u mnie pani Franchard, która wyjechała na spotkanie córki. Nie mogła mi dać żadnych szczegółów, gdyż sama nic nie wiedziała. Prosiła mnie tylko, bym był gotowy przybyć do zamku Balizac. Dowiedziałem się także od niej, że na barona wywarło silne wrażenie tak wczesne spełnienie się mych przepowiedni.

Istotnie nazajutrz zostałem wezwany telegraficznie do zamku. Pan Delille oczekiwał na mnie z samochodem na dworcu.

Bardzo mnie to zdziwiło; mąż panny Franchard musiał bowiem wiedzieć o moich usiłowaniach zerwania lub tylko choćby odłożenia ślubu. Czyżby ta opozycja zjednała mi jego zaufanie?

Rozmowa, jaką mieliśmy potwierdziła mój domysł. Pan Delille był to człowiek dobrze wychowany, ograniczonej inteligencji, lecz z wielkimi znajomościami form światowych. Spostrzegłem w nim dobroć i pewną szczerość, zmieszaną jednak z naiwną skrytością. Uważałem to za skutki otrzymanego wychowania.

Zaczął rozmowę konwenansową. Mówił o podróży, o niepokoju z powodu zdrowia żony, o przykrości, doznanej z tego prędkiego powrotu. Zapytałem, czy radził się lekarzy hiszpańskich, odpowiedział mi wymijająco. Był doktor, ale nie leczył żony, nie wzbudzał zaufania; chciał zasięgnąć rady specjalisty paryskiego, lecz przedtem zwrócił się do mnie, ponieważ ze skutkiem leczyłem jego żonę. Wśród najrozmaitszych zastrzeżeń wyznał, że pisał po doktora Quinsac z Paryża, ale ten odpowiedział, by naprzód mej rady zasięgnąć, a przyjedzie sam wtedy, gdy ja to uznaję za potrzebne. Nie zdziwiło mnie to, gdyż Quinsac jest dawnym moim dobrym kolegą.

— Proszę mi powiedzieć — odezwałem się — o objawach choroby, jakie pan znalazł u żony. To ułatwi me zadanie.

Wtedy pan Delille powtórzył mi to wszystko, czego dowiedziałem się już przez pana Leyre'a. Nie potrzebuję dodawać, że przemilczał przystępy swego gniewu i scenę z wróżbiarką, szczegółowo jednak przedstawił mi stan i zachowanie się żony, gdy zbliżał się do niej jako małżonek.

— I wówczas pan zawezwał mego hiszpańskiego kolegi? — zapytałem z umyślną naiwnością.

— Tak — odrzekł zażenowany.

— Co on powiedział?

— Nazwał to objawami histerycznymi.

— Czy zapisał co?

— Nic.

— Dobry lekarz. Lecz proszę mi powiedzieć, musiał chyba nastąpić silniejszy atak, kiedy tak nagle przerwał pan podróż? Pięć czy sześć dni pozostawali państwo w Grenadzie, a pani Delille była chora już od pierwszego wieczoru.

— Przeciąganie się tego stanu omdlenia, skłoniło mnie do powrotu.

Porzuciłem ten temat i zapytałem o samą Grenadę, czy widział katedrę i inne zabytki maurytańskiej sztuki. Zainteresowałem się jego wrażeniami. Czy widział tańce andaluzyjskie i cygańskie? — Tak.

— Czy dawał sobie wróżyć z ręki, jak to czynią wszyscy podróżni?

Pytanie to bardzo go zakłopotало; odpowiedział: — Zastosowałem się do zwyczaju.

Po chwili myślenia zwrócił się do mnie:

— Pan nie uważa choroby mej żony za histeryę? Teś wspominał mi, iż pan nie jest tego zdania.

— Istotnie, lecz jeżeli przyczyny, które wywołują ataki, nie zostaną usunięte, wtedy może się okazać najcięższa histerya.

— A jakie mogą być przyczyny?

— Smutek wielki i długo trwający...

— Czy pan wie, że żona chciała odłożyć nasz ślub?

Tak.

— Czy nie sądzi pan, że ten ślub jest przyczyną choroby?

— Owszem, panie. Proszę mi wybaczyć szczerość, lecz jako lekarz i człowiek winienem panu powiedzieć całą prawdę.

Pan Delille westchnął.

— Niech pan wierzy mi, że jeżeli tylko moje interesa byłyby w grze, chętnie poświęciłbym swe uczucia wobec innego wyboru mej żony. Niestety jednak stanowisko naszych rodzin nakłada na nas obowiązki, którym oddawać musimy nietylko majątek i szczęście, lecz i życie. Po przyjeździe do zamku — dodał — porozmawiamy jeszcze o tem.

Do pana Franchard wprowadzony zostałem z wielką pompą. Przyjął mnie z namaszczeniem:

— Bardzo głęboko jestem zasmucony tem, co się stało. Może winienbym wspomnieć o mych obowiązkach ojca przed myślami o swych obowiązkach, jako katolika i Francuza; nie żałuję jednak, że

dał krajowi swemu przykład poświęcenia i abnegacji.

Napróżno chciałem domyśleć się, jaką korzyść religia i Francya odniosły z narzucenia biednej Łucyi niekochanego człowieka; widocznie, jak mówił jej ojciec, poczucie i zrozumienie tych rzeczy dostępne jest tylko dla uprzewilejowanych. Skłoniłem się lekko, a baron mówił dalej:

— Nie mniejsze zrobiła na mnie wrażenie nasza ostatnia rozmowa i pańska przepowiednia. Jeżeli został popełniony jakiś błąd, to me sumienie chrześcijańskie świadczy, iż stał się on bez złej woli. Zresztą nie należy odrabiać tego, co uczyniono na wieczność, lecz myśleć o poprawieniu zła i tutaj całą swą nadzieję pokładamy w panu. Błagamy, by pan użył wszystkich środków na przywrócenie zdrowia pani Delille. Nie cofniemy się przed żadną ofiarą i jeżeli pan uzna za odpowiednie odwołać się do wiedzy swych najslawniejszych kolegów, gotowi jesteśmy spełnić pańskie życzenie.

Chodziło im widocznie o wezwanie Quinsaca. Drogo to ich będzie kosztowało, jeżeli Quinsac będzie w złym humorze. Nie znosi, by go fatygowano niepotrzebnie.

— Bardzo dobrze byłoby zasięgnąć rady specjalisty — rzekłem. Kogo pan życzy poradzić się?

— Kogo pan zechce, — odpowiedział baron.

— Proszę wybrać samemu. Muszę jednak wyznać otwarcie, że choroba pańskiej córki nie jest wcale skomplikowana. Narazie jest niewyleczalna; wszystko trzeba pozostawić czasowi i nie spieszyć się z niczem, by nie narażać zdrowia a nawet i życia.

I dodałem z umyślną złośliwością:

— Skandal, panie baronie, jest już dość głośny. Nagłe przerwanie podróży poślubnej jest tematem rozmów w wielkim świecie. Pan nie uniknie już ciekawości, na jaką narażeni są wybitniejsi ludzie.

Pan Franchard zmarszczył z początku brwi, musiał jednak uznać, że oceniam doniosłość jego nazwiska; zakończył rozmowę, proponując wezwanie doktora Quinsaca, profesora Sorbony.

— Zaraz zatelegrafuję do niego, by jutro przybył, — rzekłem — poczem udałem się do pani Delille.

Jak ona zmizerniała i zbladła! Jej biedna dusza, stworzona do pieśnyczot i ciszy, była na odlocie z ciała, w którym za wiele znosiła męczarni. W jej wielkich ciemnych oczach malowała się niema rozpacz; nie miała już chęci do życia. Pan Delille towarzyszył mi; zauważyłem w jego zachowaniu się pewien przymus; zdawał się unikać wzroku swej żony. Wyobrażałem sobie, że i Łucya nie znosi jego obecności, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

— Dzień dobry, panie doktorze, — rzekła — wyciągając do mnie swą wybladłą rękę; uważała mnie pan za bardzo chorą.

— Ależ nie, drogie dziecko! — odpowiedziałem czule. Zaraz panią wyleczymy.

Przy zbadaniu nie znalazłem żadnej wady organicznej. Łucya miała chorą duszę, nie ciało. Zapisałam jej środki pobudzające.

— Przyjdę jutro do pani z jednym z mych kolegów — rzekłem na odchodnym. Proszę nie tracić nadziei, że wszystko będzie dobrze.

— To konsilium! — zawołała smutnie. Ja jestem bardziej chorą, niż pan to mówi.

— Nie, drogie dziecko, mówię tylko prawdę. Do jutra!

Odjechałem zaraz, nie widząc się z baronem. Pan Delille odwiózł mnie.

— Jak pan znajdzie moją żonę? — zapytał.

— Bardzo chora.

— Lecz co jej jest?

— Tak dobrze pan to wie, jak i ja — odrzekłem z irytacją.

Pan Delille okazał się dotkniętym tem i aż do samego końca nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Żegnając się, rzekłem mu:

— Do widzenia; serdecznie mi pana żal, gdyż pan jest zacnym człowiekiem, a położenie pana bardzo przykre.

Ścisnął mnie silnie za rękę, lecz nic nie odpowiedział. Po powrocie do siebie i odwiedzeniu ważniejszych chorych, udałem się do pana Leyre'a. Stan jego poprawiał się.

Nazajutrz, drugiego kwietnia, udałem się rano na dworzec po Quinsaca, który przybywał kurierem z Paryża: poprzednio wynajętem samochód, który uniósł nas szybko do zamku Balizac. W czasie jazdy przedstawiłem mu całą sprawę.

— Musiałeś się bardzo przejmować tym wypadkiem — rzekł mi Quinsac — uważam, że ci metafizyczni kochankowie zdobyli sobie całą twą sympatyę. Zresztą nie mogło być inaczej.